

Dokąd idziesz, Karolino?

Rzym. Wieczne miasto, dawna stolica starożytnego Cesarstwa Rzymskiego, a obecna stolica Włoch. Miasto położone między siedmioma wzgórzami, nad rzeką Tyber. Niektórzy nazwaliby to miejsce swoim domem, inni wymarzoną zakątkiem do spędzania wakacji, a ja obecnie nazywam je „katorgą”. Dzięki Bogu, że do torby zabrałam wachlarz, którym teraz mogłam się wachlować. Mimo, że nad miastem zbierały się chmury, panowała tu straszna duchota i było bardzo gorąco. Pot łał się ze mnie ciurkiem, a jedyne o czym marzyłam, to znalezienie się w hotelu z przyjemną klimatyzacją.

-Ałaaaaa!-syknęła Anastazja, kiedy przez przypadek uderzyłam ją wachlarzem.

-Przepraszam – powiedziałam, szybko sprawdzając, czy nic jej się nie stało. -Następnym razem będę bardziej uważać!

- Ja rozumiem, że ty nie lubisz takich upałów, ale może zostaw ten „biedny” wachlarz w spokoju, co?- powiedziała z uśmiechem Anastazja, rozglądając się po uliczce, którą właśnie szła cała nasza grupa. Przewróciłam oczami, ale w duchu się zaśmiałam i również zaczęłam oglądać to bardzo ciekawe i piękne miasto. Wszędzie wokoło można było zobaczyć zabytkowe kamienice, które wyglądem przypominały bardzo stare miasto. Wystarczyło, że wyobraziłam sobie, iż cofnęłam się kilkadziesiąt wieków wstecz i mogłam poczuć się jak w Cesarstwie Rzymskim. Obok biegła droga, która chyba nie pasowała do wizji starożytnego miasta... Ale, chwila, chwila! Przecież wtedy już budowano drogi, prawda? Uczyliśmy się o tym na historii, no i w końcu, skądś wzięło się to powiedzenie: „Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu!”. Ponownie się rozejrzałam i skupiłam wzrok na sąsiedniej uliczce, z której nadeszli rzymscy legionieści. Nosili srebrne zbroje i hełmy, od których odbijało się słońce i coś, co przypominało czerwone spódniczki, przy których mieli doczepione miecze. Każdy w jednej ręce niósł oszczep, a w drugiej tarczę. Na nogach mieli sandały. Żadnemu z nich, mimo ciężkiej zbroi, nie przeszkadzał ten skwar. Za legionem, pchając katapultę, nadeszli inni żołnierze. Jeden z nich nawet mi pomachał. Już chciałam zrobić to samo, kiedy zza zakrętu nadjechał samochód, a rzymscy legionieści się rozmyli.

Chciałaś pomachać wymyślonemu przez siebie legionieście? Serio?

Złajałam się w myślach. Jednak Rzymianie, których sobie wyobraziłam, wyglądali tak realistycznie wśród tych wszystkich budynków...

-Uwaga! Przechodzimy przez pasy!-powiedziała pani Nowak, a ja wzdrygnęłam się na jej głos. Każdy z nas miał urządzenie, dzięki któremu słyszał nauczycieli, a oni nie musieli przekrzykiwać tłumu turystów, którzy również zwiedzali Rzym. Skręciliśmy na pasy, a panie, upewniwszy się, że nie jedzie żaden samochód (co było rzadkością,) przeprowadziły nas przez jezdnię.

-Nie powinny czekać, aż samochód się zatrzyma-szepnęła Anastazja. -Tutaj to tak nie działa. Musisz sam wejść na pasy, dopiero wtedy samochody się zatrzymają.

Anastazja już była nie raz w Rzymie, więc postanowiłam jej uwierzyć. Z resztą wciąż pamiętałam, jak kiedyś mi to mówiła. Bardzo małe miejsca parkingowe i ignorowanie przez kierowców, a nawet policję, świateł. Tak przynajmniej słyszałam. Nasza grupa stanęła przed średniej wielkości, skromnym, ale zadbanym kościółkiem. Nie był on podobny do żadnych kościołów, które wcześniej widywałam. Wszystkie zachwycały swoimi ogromnym rozmiarami i strzelistymi wieżami. A ten? Wyglądał bardziej jak dom jakiegoś księdza. I to wcale nie tak, że był jakiś mikroskopijny. Po prostu był o wiele mniejszy od innych kościołów. Zebraliśmy się przed wejściem do niego. Z racji, że razem z Anastazją szliśmy w trzeciej parze, byliśmy bardzo blisko wejścia i z łatwością mogłam odczytać napis:

Haec Petrus a Xsto petit: Domine quo vadis

Starałam się jakoś przetłumaczyć te słowa, ale nie za bardzo umiałam. „Domine quo vadis” oznacza: „Panie, dokąd idziesz?”. Wiedziałam to z lektury szkolnej pt. „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza. Tak w zasadzie, to właśnie dzięki tej lekturze tutaj jesteśmy. Mieliśmy w planach pojechać do Wielkiej Brytanii, ale jak to określiła nasza wychowawczyni: „Pomysł umarł śmiercią naturalną”. Czyli po prostu nic z niego nie wyszło. Ale, żeby nam to jakoś wynagrodzić, wychowawczyni postanowiła dogadać się z naszą polonistką, panią dyrektor, rodzicami i z kim tam jeszcze trzeba takie rzeczy uzgadniać, żebyśmy mogli pojechać do Rzymu śladem omawianej przez nas lektury, czyli właśnie „Quo vadis”. Potem ktoś jeszcze zaproponował, żebyśmy pojechali do Wenecji. No, a ja nie mogłam zaprzepaścić okazji i ubłagałam wychowawczynię, żebyśmy ostatniego dnia pojechali na Monte Cassino. Aktualnie była z nami pani przewodnik, pani Nowak, czyli polonistka, nasza wychowawczyni, wychowawczyni 7b i pan Grzegorz, czyli nauczyciel od historii. Ponownie spojrzałam na napis. „Petrus”... To chyba Piotr. A więc na pewno chodzi o Świętego Piotra.

-Właśnie jesteśmy przy kościele Domine Quo vadis, czyli „Panie, dokąd idziesz”, ale to powinniście wiedzieć-moje przemyślenia przerwała przewodniczka, która właśnie otworzyła

drzwi. Ruchem ręki zaprosiła nas do środka i wszyscy zaczęliśmy się przeciskać do wejścia. Kiedy weszłam, moim oczom ukazało się skromne wnętrze. Ławki kościelne po dwóch stronach z czerwonymi poduszkami. Na końcu znajdował się konfesjonał, zaś ściany ozdabiały obrazy. Przewodniczka, upewniwszy się, że wszyscy weszli, zaczęła opowiadać nam o kościele:

-Według legendy kościół ten powstał, kiedy Jezus po rozmowie z Piotrem zniknął, zostawiając ślady swoich stóp na kamieniu... - jej głos rozbrzmiewał lekkim echem i tak jakby do nas wracał.

-Proszę pani!-powiedział jeden z uczniów 7b, podnosząc rękę. – Ale, jak to możliwe, że zostawił swoje odciski na kamieniu?

-Bóg jest wszechmocny-odpowiedziała przewodniczka, jakby wyjaśniała oczywistą kwestię jakiemuś nierozumnemu sześciolatkowi. –Ale, wracając do tematu, kościół ten został zbudowany tak, aby kamień znajdował się w jego wnętrzu. Obecnie jest tu replika tego kamienia, a oryginał znajduje się w bazylice Świętego Sebastiana, do której również pójdziemy.

-Czy widzicie tamte obrazy?-spytała polonistka, wskazując na dwa podobne, a jednak różne od siebie obrazy po bokach konfesjonału. Jeden przedstawiał postać na krzyżu, więc łatwo było wywnioskować, że to Jezus. Druga zaś postać, również była na krzyżu, ale za to jej krzyż był odwrócony. Oczywiście był to Święty Piotr, który uważał, że nie jest godzien umierać tak samo jak jego Mistrz.

-Mam nadzieję, że wszyscy wiedzą, co to za postacie!- polonistka omiotła nas groźnym wzrokiem. Niektórzy pewnie, żeby zrobić na złość lub się popisać, zaczęli kręcić głowami i udawać, że nie wiedzą, że pierwszy raz w życiu widzą tych ludzi, a w ogóle to nigdy nawet nie dotknęli książek. No dobra, to ostatnie mogło być prawdą. Przykrą prawdą, ale jednak.

-No, jeśli tak, to po powrocie będę musiała zrobić wam kartkówkę-pani pokręciła głową, a wszyscy od razu zaczęli mówić, że to tylko żart.

-No dobrze, już dobrze-zaśmiała się nasza przewodniczka, wyraźnie rozbawiona sytuacją. - Tutaj możecie zobaczyć autora „Quo vadis” -mówiąc to, odsunęła się na bok i naszym oczom ukazało się popiersie Henryka Sienkiewicza. Wokół niego ciągnęła się biało-czerwona linia, czyli flaga Polski, mówiąca jakiej narodowości był Sienkiewicz. Poniżej była podana jego data urodzenia i coś... chyba po włosku. Nie zdążyłam nawet spróbować tego odczytać,

bo tekst zaczął mi się rozmazywać. Zrobiło mi się duszno i wcale nie pomogło to, że inni zaczęli się przepychać. Czułam wokół siebie mnóstwo ludzi, ale nie mogłam ich zobaczyć przez to, że przed oczami miałam mroczki. Zdarzało się to już wcześniej, ale głównie w sytuacji, gdy byłam śpiąca. Po chwili do moich uszu zaczął docierać gwizd. Chciałam zakryć sobie uszy dłońmi, ale nie mogłam nimi ruszyć. Nie miałam panowania nad ciałem. Próbowałam zrobić cokolwiek: krzyknąć, dać znać komuś, że coś jest nie tak, ale byłam bezradna! Po jakimś czasie ten okropny hałas ustał, a ja i tak nic nie widziałam. Po chwili zdałam sobie jednak sprawę, że mam zamknięte oczy. Zdziwiło mnie to, bo nie pamiętałam, żebym je zamknęła. Jeszcze bardziej jednak zdziwiłam się, kiedy je otworzyłam. Nigdzie nie było kościoła. Stałam na dróżce, usypanej z kamieni. Na dworze panował obezwładniający mrok, który przytłaczał mnie ze wszystkich stron. Byłam bardzo przerażona. Nie bałam się ciemności ani nie wierzyłam w zjawiska paranormalne, ale ta sytuacja była tak abstrakcyjna, że zaczęłam się bać. Po chwili pomyślałam, że to może jakiś dziwny sen. Że być może w tym kościele zemdlałam, a to wszystko jest fikcją. Ale, czy po zemdleńiu można śnić? I czy ktoś nie próbowałby mnie obudzić? Poza tym, to wszystko było za bardzo realne. Nie wyglądało jak sen. Dla pewności uszczypnęłam się w przedramię, ale po uczuciu lekkiego bólu wszystko wydawało się być takie samo. Zaczęłam się rozglądać.

-Anastazjo?-spytałam cicho, rozglądając się wokół siebie. Poza mną, nie było tu jednak nikogo, a przynajmniej nikogo nie widziałam. Moje oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Byłam w stanie dostrzec zarysy budynków i... ludzi. Wielu, wielu ludzi przemykało szybko w ciemnościach. Niektórych ledwo było widać, inni zaś byli wyraźniejsi z powodu lamp, które nosili.

-Jest tu kto?-zapytałam jeszcze, by upewnić się, czy na pewno nikogo w pobliżu nie ma, ale nie oczekiwałam odpowiedzi. Z lekkim strachem zaczęłam podążać za ludźmi, którzy udawali się w nieznanym mi kierunku. Co chwila potykałam się o jakieś kamienie, bo nie widziałam drogi. Po pewnym czasie zorientowałam się, że przecież mam plecak. Kiedy tylko o tym pomyślałam, zrozumiałam, że to nieprawda. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że mój plecak zniknął! Zaczęłam się rozglądać, chociaż wiedziałam, że to bardzo mało prawdopodobne, że gdzieś spadł. Przecież raczej bym to poczuła. Po chwili zrezygnowałam z poszukiwań i ponownie ruszyłam za ludźmi. Starłam się ich dogonić i wciąż zastanawiałam się, jak się tutaj znalazłam. Kiedy zaczęłam się zbliżać, do moich uszu dotarły słowa pieśni. Śpiewana przez tak wiele osób nie była wyraźna, ale słyszałam niektóre słowa, np. „Powstań z martwych” albo „Wstań, który śpisz”. I wtedy właśnie zdałam sobie sprawę,

że ludzie ci, mimo, że ich rozumiałam, na pewno nie śpiewają po polsku. Nie umiałam tego określić, ale to po prostu nie mógł być polski. Szłam za tłumem coraz bardziej, zbliżając się do muru pokrytego bluszczem. Ludzie po kolei wchodzili na dziedziniec obłany srebrzystym blaskiem księżyca. Rozglądałam się dookoła, próbując wyłapać wszystkie szczegóły i przez przypadek wpadłam na jedną z zakapturzonych postaci.

-Przepraszam-powiedziałam szybko.

-Nic się nie stało-odparła postać z kobiecym, melodyjnym głosem. -Nie wiedziałam, że tak młode osoby przychodzą na spotkania chrześcijan. Przecież chyba wiesz, że Neron nas nienawidzi i z pewnością chciałby nas jakoś ukarać i pogrzyżyć. Nawet taką młodą osobę, jak ty. Mimo, że miała zarzucony kaptur, to byłam w stanie dostrzec jej jasne, świetliste oczy, przypatrujące mi się z ciekawością. Przez chwilę zaschło mi w ustach. Poczułam, jak moje ręce się pocą, kiedy starałam się wymyślić jakąś odpowiedź, choć nic z tego nie rozumiałam. Neron? Spotkanie chrześcijan? Wzruszyłam ramionami, starając się nie patrzeć w oczy kobiety.

-Chciałam posłuchać...-mruknęłam cicho.

-Rozumiem-zaśmiała się cicho kobieta.

Nie ciągnęłam dalej rozmowy. Po prostu zaczęłam wpatrywać się w przychodzących ludzi. Musiałam to sobie jakoś poukładać w głowie. Czy to możliwe, że przeniosłam się w czasie? A może zaraz obudzę się w szpitalu? Spojrzałam ponownie na kobietę. Ona jednak miała wzrok utkwiony w przestrzeni. Dopiero teraz zauważyłam, że obok niej stoi potężnie zbudowany mężczyzna, patrzący na mnie błękitnymi, łagodnymi oczami.

-Jak ci na imię?-spytała niespodziewanie kobieta, nie patrząc na mnie.

-Karolina-odparłam, bez większego namysłu.

-Mnie zwą Ligia-odwróciła się, patrząc prosto w moje oczy.

Ligia. To słowo odbiło mi się echem. Jeszcze raz spojrzałam na tłum. Potem na kobietę. Ligia, spotkanie chrześcijan i Neron. To nie mógł być przypadek.

-Kallina?-mruknęłam otępiała. Wcale nie miałam zamiaru tego powiedzieć, ale to wszystko sprawiło, że nie panowałam nad tym czy mówię, czy myślę. Ligii ze zdumienia rozszerzyły się oczy.

-Skąd wiesz? Czyżbyś znała Aulusa Plaucjusza? Albo jego żonę?-spytała, a w jej głosie można było wyczuć ekscytację.

-Winicjusz chce cię porwać-mruknęłam cicho, czując się w obowiązku powiadomić Ligię, choć i tak wiedziałam, że w końcu będą razem.

Ligia westchnęła. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale w tym momencie ludzie zaczęli zapalać pochodnie i wrzucać je na mały stos. Wielkie ognisko pokryło się płomieniami, a wszyscy zaczęli śpiewać pieśń. Nie umiałam określić, o czym była. Wiem tylko, że w tamtej chwili wiedziałam, że to, co słyszę, jest najpiękniejszym dźwiękiem, jakie moje uszy kiedykolwiek usłyszały i usłyszą. Wtedy zdałam sobie sprawę, że mimo iż jestem w krótkim rękawku, wcale nie jest mi zimno. Nie czułam ani pragnienia, ani głodu, ani też zimna czy ciepła. Wtedy też pojawiła się w mojej głowie dziwna myśl.

Czy ja umarłam?

Przestałam na chwilę oddychać. Ale nie, ciągle do funkcjonowania potrzebowałam tlenu. Rozejrzałam się po tłumie, starając się dostrzec postaci, mogące przypominać Winicjusza albo Chilona. Nie było to jednak łatwe, ponieważ mimo palącego się ogniska większość osób miało zrzucone kaptury albo stało w cieniu. Kiedy pieśń ucichła, Ligia zwróciła się do mnie:

-Nie rozumiem, dlaczego ten człowiek jest taki uparty-ponownie westchnęła. -Wybaczam mu jednak, gdyż tak nakazuje Jezus.

Kiwnęłam jedynie głową. Po chwili zauważyłam poruszenie. Ludzie zaczęli mówić słowo. Przekazywali je sobie nawzajem jak dobrą nowinę albo nadzieję.

-Petrus... Petrus...

Większość osób, w tym Ligia i towarzyszący jej mężczyzna, który za pewne był Ursusem, przyklęknęli. Ja jednak stałam, wpatrując się w postać starca, ubranego bardzo skromnie. Ale jednak w jego twarzy było coś, co nie pozwalało oderwać wzroku. Patrzył na otaczających go ludzi z miłością i łagodnością. Od całej jego osoby biło światło i ciepło. Podniósł ręce i wykonał znak krzyża. Wszyscy, łącznie ze mną, padli na kolana. Byłam chrześcijanką i chodziłam do kościoła, ale musiałam przyznać, że nierzadko się tam zwyczajnie nudziłam. To wcale nie tak, że nie chciałam słuchać, ale jakoś po prostu nie mogłam się skupić, a ksiądz nie mówił interesująco. Jednak mimo, że Piotr mówił o rzeczach tak dla mnie oczywistych, o których słyszałam już wiele razy, to coś, w jaki sposób to mówił, sprawiało, że po prostu nie mogłam nie słuchać. Mówił o prawdach, o tym, jak mamy żyć,

jak postępować, żeby dostać się do nieba. Czego się wyrzekać i unikać. A potem... A potem zaczął mówić o Jezusie. O tym, jak zmartwychwstał. Ile razy o tym słyszałam, ile razy o tym czytałam, nie wiem. Zapewne bardzo dużo. Ale jednak w tym, co mówił Piotr, było coś innego. W końcu inaczej jest słyszeć relacje od samego świadka, prawda? I mimo, że wierzyłam, że byłam chrześcijanką, to moja wiara nigdy nie była tak silna, jak wtedy, gdy słuchałam Piotra. I kiedy on płakał, ja też płakałam. I kiedy jego głos wyrażał radość, ja też byłam szczęśliwa. I widziałam, że nie jestem jedyna. Kiedy skończył, usłyszałam odległe pianie koguta. I wtedy zrozumiałam, że zaraz Ligia i Ursus stąd pójda, a wtedy zaatakują ich Winicjusz, Chilon i Kroton. Właśnie w tej chwili Ligia podniosła się i poszła razem z Ursusem, machając mi tylko z daleka. Od razu wstałam i ruszyłam za nią, przeciskając się przez tłum. Szłam w niewielkiej odległości od kobiety, która pogrążona była w rozmowie z Ursusem. Ligia wydawała się być bardzo rozemocjonowana i żywo gestykulowała. Po pewnej chwili weszli do jakiegoś domu. Z zawahaniem podążyłam za nimi. Położyłam rękę na ramieniu Ligii, a ona się wzdrygnęła.

-Przepraszam za kłopot-szepnęłam cicho. -Ale czy mogłabym tutaj przenocować?

-Oczywiście-Ligia się uśmiechnęła, po czym zaprosiła mnie do środka ruchem ręki.

-Dziękuję bardzo-uśmiechnęłam się. Nie miałam kompletnie pomysłu, co ze sobą zrobić. Wiedziałam, co się stanie i, że tej nocy Winicjusz i Kroton spróbują porwać Ligię. Tak w ogóle to świetne metody podrywu, nie ma co. Ale w tej chwili to była przynajmniej jakaś opcja... Ligia zaprowadziła mnie przez ogród aż do drugiego domu. Ursus został, mówiąc, że musi umyć jakieś naczynia. Kobieta usiadła na łóżku i skinieniem głowy wskazała mi miejsce obok siebie. Łóżko lekko zapadło się pod moim ciężarem.

-Piotr to cudowny mówca, prawda?-spytała, przyglądając mi się badawczo.

-Tak – odparłam. -Naprawdę wspaniale się go słuchało.

Dalsza rozmowa zeszła na chrześcijaństwo. Ligia mówiła o tym, jak bardzo Neron nas nienawidzi i chce się nas pozbyć. Ja oczywiście to wiedziałam i na wspomnienie tortur z kilku ostatnich rozdziałów książki aż zadrżałam. Wtedy właśnie do domu wpadł Winicjusz. Niespodziewanie wstałam, zasłaniając Ligię, ale ten z rozpędu wpadł na mnie, a następnie mnie odrzucił. Całe ciało mnie bolało, a ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, był Winicjusz chwytający Ligię.

Stałam. Byłam tego pewna. Nic mnie nie bolało. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że ciągle jestem w starożytnym Rzymie. Skąd to wiedziałam? Dziwnie ubrani ludzie, konie zamiast aut i... Ligia. Tak, byłam pewna, że to ona. Długie, kręcone, blond włosy okalały jej jasną cerę. Uśmiechnęła się, kiedy mnie zobaczyła i do mnie podbiegła.

-Karolina! – krzyknęła. -Nie myślałam, że jeszcze cię spotkam! Gdzie byłaś?

-Ja... No straciłam przytomność, a potem obudziłam się. Nikogo nie było, więc postanowiłam was poszukać, ale nikogo nie znalazłam.

-Oh, a wielka szkoda! Tyle się zdarzyło...

-Tak?-spytałam, zachęcając ją do dalszego mówienia. Zdziwiło mnie to, że rozmawia ze mną jak ze starą koleżanką.

-Chyba się zakochałam-powiedziała cicho. -I to na dodatek w Winicjuszu...

-A, czy przypadkiem to nie on próbował cię porwać?-postanowiłam udawać zdziwioną.

-Tak, ale gdybyś widziała, jak bardzo się zmienił... Ursus go obezwładnił, ale nie zabił. Zabraliśmy go do Piotra i się nim zaopiekowaliśmy. Z każdym dniem przestawał być taki, jakim był dawniej... Stawał się chrześcijaninem całym sercem.

Uśmiechnęłam się. Miło było to słyszeć.

-To... na co czekasz?

-On odszedł-Ligia zapłakała.

Podeszłam i ją przytuliłam. Nigdy nie byłam dobra w pocieszaniu, a to było pierwsze, co przyszło mi na myśl. Na moją twarz spadły jej blond loki.

-Jeśli cię kocha, to wróci-powiedziałam jej. -A jak nie, to go znajdziesz i powiesz mu, że gdyby Neron spróbował podpalić Rzym, to i tak całe to miasto nie płonęłoby tak jak twoje serce płonie miłością do niego-wymyśliłam szybko.

Ligia lekko się zaśmiała, a ja poczułam skurcz, wiedząc, że przecież rzeczywiście to miało nastąpić.

-Dziękuję-spojrzała na słońce. -Niestety, muszę już iść.

-Żegnaj-powiedziałam, a następnie jej pomachałam. Ligia odeszła, a ja dopiero w tej chwili zdałam sobie sprawę, że gdzieś w środku czułam, że to nasze ostatnie spotkanie.

Zapadła ciemność. Już się jej nie bałam. Kiedy ponownie otworzyłam oczy. Nie byłam wcale zdziwiona, gdy znalazłam się na drodze usypanej z kamieni. Obróciłam się. W oddali zauważyłam Rzym. Był jednak.... inny. Spalony. Zniszczony. Może to tylko wyobraźnia, ale słyszałam, jak z oddali wiatr niesie do mnie lament umęczonych mieszkańców miasta i zabijanych chrześcijan. Zadrżałam. Nie z zimna, lecz ze strachu.

-Chryste! Chryste!...-płaczliwy głos, który tak rozpaczliwie wołał, był pełen sprzecznych emocji. Strach, radość, smutek, cierpienie, ekscytacja... Odwróciłam się, by ujrzeć klęczącego starca. Świętego Piotra. Wydawało się, jakby całował czyjeś stopy. Łkał cicho. Chciałam do niego podejść, jakoś go pocieszyć, ale coś mnie powstrzymywało. On sam nie wydawał się widzieć niczego więcej, poza powietrzem przed sobą. I wtedy zrozumiałam. On widzi Jezusa.

-Quo vadis, Domine?...-spytał drżącym głosem, wpatrując się przed siebie. Nie słyszałam odpowiedzi, ale doskonale wiedziałam, co odpowiedział mu Jezus: „Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by mnie ukrzyżowano raz wtóry”. Piotr nie poruszył się. Leżał jakiś czas na ziemi, by, podpierając się laską, wstać i zawrócić w kierunku Rzymu.

-Quo vadis, Domine?-powtórzył, jak echo.

-Do Rzymu-odparł Piotr, ruszając w kierunku spalonego miasta. I nauczał nowych wyznawców Chrystusa i chrzczył ich, aż do momentu, gdy go złapano. A potem przeżył męki, umierając na odwróconym krzyżu, bo nie był godzien umierać jak jego Mistrz. Nie widziałam tego, ale wiedziałam. Po policzkach spłynęły mi łzy. Poczułam czyjąś rękę na moim ramieniu. Odwróciłam się i ujrzałam krótko ostrzyżonego mężczyznę z brodą, wąsami i okularami.

-Chyba już dosyć wrażeń na dziś, co?-spytał Henryk Sienkiewicz.

-Co?-spytałam otępiała i patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami.

-Niektóre osoby mogą przenieść się do świata „Quo vadis” właśnie w tym kościele. Sam ich wybieram-uśmiechnął się. -Inni zaś mogą zrobić to samo, ale za pomocą wyobraźni. Efekt, jak mniemam, będzie mniej realistyczny, ale może nawet ciekawszy?

-Ale, jak...-nadal nie rozumiałam.

-Niestety, na to pytanie nie mogę ci odpowiedzieć.

Kiwnęłam jedynie głową.

-Podobało ci się?-spytał.

-To było niesamowite przeżycie.

Mężczyzna uśmiechnął się, po czym powiedział:

-Chyba już czas na twój powrót...

Większość osób, w tym moja polonistka - Pani Justyna Nowak, pewnie dałoby sobie rękę uciąć, żeby znaleźć się w takiej sytuacji jak ja. Ale byłam już zmęczona, a moja głowa była przepełniona najróżniejszymi myślami i odczuciami tak, że potrzebowałam chwili odpoczynku, więc jedynie kiwnęłam głową.

-Do widzenia-powiedziałam.

-Do zobaczenia-odparł pisarz.

I ponownie poczułam, że nie panuję nad swoim ciałem, a w uszach mi gwizdało. Kiedy otworzyłam oczy, ponownie znalazłam się w kościółku. Pani przewodnik coś mówiła, ale ja zwróciłam całą swoją uwagę na popiersie Henryka Sienkiewicza. I może to tylko wytwór mojej wyobraźni, ale byłam przekonana, że autor „Quo vadis” uśmiechnął się do mnie.